

Życiorys

(Rozpostarta dusza Salomona Finka)

Jeszcze zanim się urodziłem, z rzeczywistości wypompowano czas, ale nikt tego nawet nie zauważył.

Historia bez czasu zastygła nieruchomo i wtedy okazało się, że ma całkiem fajny środek: oczyszczona z „zewnątrznych pozorów” i „fałszywej różnorodności” przypominała szkielet królika, który oglądałem na lekcjach biologii: bielutki, suchy, naukowy — i do królika w ogóle nie podobny.

Oślepiająca jasność biła ze skrywanego dotąd wnętrza historii i mój Ojciec wyraźnie się zakochał:

— Oto organizm — mówił z zachwytem — w ostatnim stadium swojego rozwoju! Zobacz, jaki jest teraz przejrzysty, logiczny i trwały!

W dodatku Ojciec twierdził, że królik lada moment ruszy z miejsca i podbije cały świat (jak tylko uporamy się ze zniszczeniami wojennymi) — ja jednak miałem pewne wątpliwości. Widziałem to, czego Ojciec nie chciał zobaczyć: Królik przykręcony był mocno do podstawki.

Kiedy się urodziłem, wieczność obowiązywała już na całego. W naszym świecie bez czasu każda zmiana budziła paniczny lęk. Nic nie mogło się starzeć ani psuć, więc na wszelki wypadek wytwarzano rzeczy stare, koślawe i

popsute od urodzenia. To było genialne rozwiązanie. W dodatku, jak na Arce Noego, przetrwał tylko jeden egzemplarz z każdego gatunku i on rozmnażał się w nieskończoność, opanowując całą naszą ziemię po Potopie: klamki, okna, domy, buty na lato i buty na zimę były wszędzie jednego rodzaju i kształtu, więc podróżowanie napędliało ludzi dziwnym uczuciem, że stoją w miejscu. Zanim się połapaliśmy — przestrzeń zniknęła razem z czasem. Istnienia koloru w ogóle nie mogę sobie przypomnieć.

Poruszenie w naszej kamienicy wywoływały pachnące kartonowe pudła przesyłane z okolic, gdzie czas najwyraźniej płynął sobie, jak gdyby nigdy nic, mnożąc byty ponad ludzką potrzebę. Ze zdziwieniem i zachwytem kontemplowaliśmy gumy do żucia w różnych kolorach i rajtuzi, które w dodatku, z pudła na pudło, stawały się coraz bardziej rozciągliwe. Każdy z nas doświadczał wtedy dziwnego niepokoju, a pani Dziduszkowa na widok nylonowego futra przeżyła nawrócenie o religijnej mocy („Jak mogłam żyć bez czegoś tak... boskiego!”). Jednak mistyczne zjednoczenie z futrem okazało się dla pani Dziduszkowej zupełnie niemożliwe („Nie w TYM świecie!”), więc dzięki surowej ascezie (ziemniaki, kefir, żadnych wczasów nad morzem) nałożonej na rodzinę, pani Dziduszkowa osiągnęła Absolut, by tak rzec: pars pro toto, pod postacią małej kudłatej czapeczki z plastikowego włosia.

To wszystko jednak tylko nasilało lęk przed osunięciem się w czas. Na szeroką skalę balsamowano ludzi i myśli, powtarzano do znudzenia hasła o „Wieczności między narodami” i „Walce o wieczność”, więc generalnie nic nie gniło. Byli wszak tacy, co mimo surowego zakazu przechowywali w ukryciu pewien zapas czasu, co

parę lat próbując zmienić coś w Króliku. Ale może mieli tego czasu za mało, a może Królik zbyt mocno trzymał się podstawki, dość że trwał i co najgorsze — pokazywał ludzką twarz!

Nie rozmawialiśmy nigdy o tym, co było (trochę ze strachu, że ktoś pomyśli, iż za czymś tęsknimy), ani też o tym, co będzie — przyszłość była metaforą teraźniejszości („Tak jak teraz, tylko lepiej”). Poza tym ktoś mógłby pomyśleć, że na coś czekamy.

Mieszkałem w Mieście, ale o nim też nie mówiliśmy. Chociaż dobrze działało, używaliśmy go na co dzień z pogardą — było towarem od politycznego pasera. Dostało nam się z niewiadomego powodu, bo przecież nikt o nie nie prosił. Na dodatek poprzedni właściciel miał kryminalną przeszłość i odszedł w niesławie, a teraz czuł się nadspodziewanie dobrze, więc staraliśmy się nie zapominać, że w każdej chwili może powrócić i zabrać nam Miasto.

Mieszkałem na południu, w blokach. Tutaj Miasto zupełnie nie rzucało się w oczy, bo, rozebrane do ostatniego kawałka, odjechało gdzie indziej, gdzie zbudowano z niego stolicę państwa, w którym mieszkalem — nam zostały tylko wryte w ziemię linie papilarne zardzewiałych szyn tramwajowych, brukowanych ścieżek i połamanych krawężników. Ale nikt się tym specjalnie nie przejmował: moi dziadkowie i rodzice przywieźli sobie w głowach własne miasta i mieszkali w nich aż do śmierci — a pewnie jeszcze i potem.

Pamiętam dobrze, jak siedząc przy kuchennym stole, całymi godzinami bładziliśmy po ulicach „z głowy” i w strugach opowieści zdzieraliśmy podeszwy słów. Miękką

głoska „lji” raz po raz, jak krople wody, spływała na Miasto, zmywała do cna jego obraz, a wtedy, mogliśmy dojrzeć ozdobioną aniołami kamienicę firmy bankierskiej Hausner&Violand z Brodów, i kamienicę Czarną, i tę ze skrzydlatym lwem weneckim nad portalem siedziby Masarich, agentów handlowych republiki. Tramwaj zgrzytał na „wykręcie Badeniego” i wjeżdżał w Łyczakowską ulicę. Tam wszystko było prawdziwe: prawdziwi bohaterowie, prawdziwe zimy, prawdziwa woda i powietrze — my tutaj byliśmy tylko częścią fatamorgany, która przywędrowała nad Miasto i osiadła na nim, jak mgła.

— Jesteśmy nowymi Żydami! — mawiał Dziadek. — Jesteśmy obcy miejscom i wszystko wozimy ze sobą w głowie.

Zazdrościłem dziadkom i rodzicom: mieli swoje opowieści i wiedzieli, kim są, za to ja mieszkalem w niezrozumiałych dekoracjach do nieznanej sztuki, której tekst zabrali dawni aktorzy pewnej mroźnej styczniowej nocy. Chciałem mieć własną intrygę, skrojoną na mnie i na Miasto, żebym je mógł zabrać ze sobą i tęsknić za nim, i opowiadać o nim dzieciom i wnukom, i mieszkać w nim do śmierci, a nawet później, i wiedzieć, jak wygląda prawdziwa zima, woda i powietrze! Chciałem to wszystko mieć, lecz kiedy skończyłem siedemnaście lat, wydarzyło się nieszczęście: pewnej nocy, za jednym zamachem, zwałpiłem w istnienie Boga, Królika i Miasta. Mój dojrzewający, totalitarny umysł domagał się bezwarunkowych dowodów, lecz Bóg z zasady ich nie udzielał, Królik, zajęty kosmetyką swojej ludzkiej twarzy, nie miał dla mnie czasu, a Miasto milczało — jak zawsze. Ojciec, co prawda, bredził coś o prehistorycznych plemionach, które w tym

miejscu robiły koła i miały równo obcięte blond grzywki, ale go wyśmiałem.

Byłem sam. Zupełnie sam na świecie, którego nie było.

Nie wiem, co by się ze mną stało, gdybym przypadkiem w jakimś starym pamiętniku nie natrafił na wzmiankę o Armandzie-Louisie de Gontant duc de Biron, który w roku 1774 przejechał Miasto ze wschodu na zachód. To było coś! Potem dowiedziałem się jeszcze, że Wielki Poeta spędził w Mieście noc w drodze do wód, a kilka lat później jego serce w słoju z formaliną odbyło drogę w odwrotnym kierunku, podążając na własny pogrzeb. Przez Miasto przemknął jeszcze jeden Wódz, dwóch Cesarzy, Filozof i kilka wrogich sobie Armii — Miasto, zatem, istniało bez wątpienia! Nabrałem jednak podejrzeń, że w istocie mieszkam w miejscu, które należy wyłącznie przejechać! Z dnia na dzień rzuciłem szkołę i — jak Armand-Louis de Gontant duc de Biron — postanowiłem udać się niezwłocznie na Zachód. Do tego jednak potrzebowałem pieniędzy i wtedy los zetknął mnie z Grobelskim.

Nie był stąd, przywlokła go za sobą ostatnia armia, która przejechała przez Miasto, handlował przedwojenną porcelaną, a mnie wynajął do jeżdżenia po wsiach: wyciągałem od chłopów za bezcen, co się dało, kradłem dzbany z cmentarzy, łakomiłem się nawet na psie miski i poidła dla kur. W domu godzinami czyściłem wszystko, ostrożnie wydobywając barwy i ornamenty spod warstwy ubitego brudu, a potem z dumą wręczałem Grobelskiemu. Brał zdobycz w ręce i robił to, co zawsze napępniało mnie odrazą: nie sycił oczu szklistą urodą bieli albo przeziernym kształtem, nic go nie obchodziły cienkości, barwy, kruche korony filiżanek i wazonów — nie! Ledwie ich dotknął, a

już przekręcał je na wspak, odwracał, wywijał do góry nogami i tam wypatrywał znaków, wiele sobie po nich obiecując. Było coś bezwstydного i obraźliwego zarazem w odsłanianiu tego miejsca u podstawy rzeczy, ukrytego w cieniu przed ludzkim spojrzeniem, więc pomyślałem, że Grobelski nie lubi przedmiotów, którymi handluje, że nimi gardzi, bo jest tu obcy. Nie to co ja — ja byłem stąd, tak samo jak filiżanki ze złotym napisem „Zum Geburtstag”.

Z zemsty za upokorzenie naczyń, któregoś ranka, po nocnej ulewie, zaprowadziłem Grobelskiego na Górę usypaną ze śródmiejskich gruzów i z radością patrzyłem, jak spada na niego szaleństwo: Góra odsłaniała mu znaki, o jakich nawet nie śmiał marzyć: malowane kobaltem skrzyżowane miecze i monogramy królewskie z Meissen, odciskane tarcze herbowe z Nymphenburga, prywatne sygnatury bezimiennych malarzy porcelany. Nie istniały już żadne kształty narosłe na tych znakach, rozpadły się w pył mleczone koronki figurek, szczęły reliefy i kolory, a razem z nimi znikło całe to kłopotliwe, onieśmielające, bezużyteczne piękno — i teraz Grobelski był naprawdę szczęśliwy! Czołgał się w rozmięklej ziemi, cały oblepiony błotem jak chtoniczne bóstwo, wydłubywał z Góry fabryczne stemple, podsuwał mi pod nos te swoje cuda, mamrotał cenę, a potem z namaszczeniem chował do torby. Z czasem dorobił się niezwyklej kolekcji, siostra uszyła mu dziwaczny klaser z flaneli i Grobelski prezentował swoje znaki z czułością, jakiej nigdy u niego nie widziałem.

Którejś niedzieli (słowo „niedziela” nie odnosiło się w żaden sposób do czasu, lecz oznaczało dzień wolny od pracy, leżenie na kanapie i rosół na obiad) usłyszałem zza

okna podwójnie zakręcony gwizd — znak, że Grobelski ma dla mnie robotę. Chodziło o „skorupy”, ale tym razem było to coś naprawdę dużego, a ja miałem zwyczajnie „wstawić bajer” właścicielowi, żeby je sprzedał za grosze.

— Tylko żebyś się przed nim nie wyzdradził! — ostrzegął Grobelski. — Bo go spłoszysz!

— A kto to jest? — spytałem.

— Szkop. Stary, na pozbyciu leży, sam w mieszkaniu, na Północy Miasta!

Nie bywałem w tamtych rejonach. Ja byłem paniczem z bloków, wybrańcem, który ubikację miał w mieszkaniu, a zimą chodził w slipach po rozgrzanych pokojach (próba zakręcenia kaloryfera kombinerkami groziła zalaniem pionu). Na Północy, w domach jak pałace, mieszkały dziady z dziada pradziada: alkoholicy, ich konkubiny i dzieci konkubin. W wysokich na cztery metry pokojach palili w piecach parkietem prosto z podłogi, wielkie okna zabijali deskami, szczali na marmur i secesyjne kafle w bramach. Słyszałem o tym straszliwe historie, lecz, mówiąc szczerze, nigdy tam nie byłem. Teraz szedłem ostrożnie, dwa kroki za Grobelskim, rozglądając się w koło nieufnie.

Nagle stanąłem, zamrugałem oczami, jakbym budził spojrzenie śpiące od lat.

Poczułem ból: wzrok zerwał się z uwięzi, pognął na oślep i w okamgnieniu rozdał balkony, kamienne mięśnie siłaczy i piersi kobiet; wygiął w zaułki fasady domów, strzelił wieżami, skakał po gzymsach jak wariat, bębnił w szare łuski dachówek.

— No, chooo! — ryknął Grobelski. — Długo beesz tak stał?

Długo? Mój wzrok wywołał czas ukryty w kamiennych krzywiznach Miasta Północnego, w spleśniałych tynkach, śladach kul, sterczących żebrach balkonów, a ja nie mogłem nasycić się wiecznością, jakiej dotąd nie spotkałem: śmiertelną, zmienną, nieprzewidywalną. Grobelski ciągnął mnie za rękaw, wrzeszczał o czasie, którego nie ma, aż w końcu jakoś dotarliśmy do celu.

Drzwi do mieszkania nie były szarym prostokątem z paździerza niewiele wyższym od człowieka, ale prawdziwymi wrotami oszklonymi do połowy. Grobelski zakręcił motylimi skrzydełkami dzwonka, włożył paluchy w szczelinę z napisem „briefe”, gwałcąc przestrzeń za drzwiami, i jeszcze, dla pewności, wałnął pięścią w szklaną szybę.

— Przepraszam za przeszkodzenie! — odezwał się wytwornie na koniec.

„Przepraszam za przeszkodzenie!” — mówiłem odtąd każdej niedzieli głosem Grobelskiego i gmerałem palcami w szczelinie na listy. Z głębi mieszkania rozlegał się śmiech i szuranie kapci, potem zgrzyt zamka. Przychodziłem każdej niedzieli, bo lubiłem ten dom z okrągłą wieżyczką na szczycie, na której okrakiem siedział wielki anioł i z jakiegoś powodu miał ogromne cycki; lubiłem schody i ażurowe prześwity między stopniami, wysoką i wąską bramę z rzeźbionymi drzwiami, rurki od gazowego oświetlenia na suficie, no i lubiłem Salomona Finka, ponieważ Fink był niezbitym dowodem na istnienie Miasta.

Nie, nie był „Szkopem” („Chyba nie mógłbym być Niemcem! Niemcom tak drastycznie nie dostaje kształtu! Jak tylko usiądą, dajmy na to, na krześle, to zaraz sami stają się krzesłem, i to w stopniu znacznie doskonalszym niż samo krzesło. Niektórzy nazywają to perfekcjoniz-

mem”), nie uważał się również za Żyda („Ach, nie! Nie mogę być całe życie tym, co myślą o mnie inni!”).

— Oczywiście... — powiedział kiedyś — bywały sytuacje, kiedy nie mogłem zaprzeczyć, że jestem tym lub owym — szczególnie kiedy mierzono do mnie z karabinu. Ten, kto we mnie celował, sugerował zwykle odpowiedź, a ja mogłem ją tylko potwierdzić. Ale to były incydenty, o których nie warto wspominać. Ja jestem stąd. Nieodwołalnie i beznadziejnie stąd!

Podczas pierwszej wizyty siedzieliśmy przy stole, pijąc herbatę z prawdziwego Wedgwooda, a Grobelski, rzecz jasna, wylał cały wrzątek, odwracając czajnik do góry nogami w poszukiwaniu znaków.

— Moja żona Aniela... — Salomon Fink zaczął zdanie, ale szybko je urwał i w ciszy „chlipał oczami”, jak to trafnie ujął Grobelski.

— Moja żona Aniela... — drugie podejście było równie nieudane.

— Aniela, moja żona... — tego już nie wytrzymałem! Desperacja Finka tak mnie wzruszyła, że pospieszyłem mu z pomocą:

— Czy to ta, co siedzi okraciem na dachu, z wielkimi cy... — urwałem, bo Grobelski wymierzył mi cios w potylicę otwartą dłonią.

Fink spojrzał na mnie ze smutkiem i zaczął się trząść, ja zaś szacowałem straty: koniec z kolekcją, Grobelski wyleje mnie z pracy, glutowata wieczność bez początku i końca zaleje moje życie, a ja będę tkwił w środku jak robak w kawałku żywicy.

Gospodarz ciągle podrygiwał, z oczu leciały mu łzy, ale ja już wiedziałem: Salomon Fink był kimś, kto dawno

temu połknął śmiech i teraz ten śmiech śmiał się w środku zamiast niego.

Grobelski szybko uznał, że mogę przychodzić sam. Każdej niedzieli o dwunastej Fink czekał na mnie, zależnie od pogody — w garniturze lub płaszczu, i wychodziliśmy z domu, pozdrawiając cycatego anioła na wieżycze. Salomon pokazywał mi Miasto, a robił to w sposób, jakiego nigdy nie widziałem: wywijał swoją duszę na lewą stronę i rozpościarał ją przede mną — to, co wewnętrzne, najgłębiej ukryte i niedostępne, stawało się teraz powierzchnią, o którą stukwały nasze zelówki.

— Kiedy mam jakiś problem — mówił — no wiesz, jakikolwiek, doprawdy wszystko jedno, wtedy moje myśli zawsze zachowują się w ten sam sposób: najpierw, trochę nieskładnie, płacząc się i potykając, lecą ulicą Adalberta, prosto przez Most Lessinga, aż do Mauritius Platz („Nie tak szybko! Nie tak szybko, Salomonie!”), tam, gdzie jest skład mebli Braci Adler — tu myśli zwalniają, ze względu na ludzi — wiesz, te wszystkie przypadkowe spojrzenia, trochę zdziwione, mogą sprawić, że myśli zastygną w bezruchu. To chwila odpoczynku („Dziękuję, Salo!”). Potem, jak widzisz, droga się rozwidla (nic nie widziałem, tylko półkolisty kawałek torów, tkwiący w bruku jak szrama, potwierdzał słowa Finka). Mógłbym podążyć Klosterstrasse, ale nigdy tego nie robię, sam nie wiem dlaczego. Może to serce, które rządzi myślami, wybiera półsenny trans wzdłuż ceglanego muru Wodociągów Miejskich.

— Jeśli do tego czasu — ciągnął — na powierzchni problemu nie pojawi się najmniejsza rysa... („Hm... nic się nie pojawiło, Salomonie!”). Cóż, nie jest to jeszcze powód

do paniki, ponieważ... (Fink zatrzymał się, oddychając z trudem. Potem wyciągnął rękę, pokazując coś za moimi plecami) bryła potężnego wodozbioru na końcu ścieżki będzie dla myśli takim wstrząsem, że problem sam niechybnie rozpęknie się na pół!

Odwróciłem się. Bezokienna budowla, skała z czerwonej cegły, o ścianach wyłobionych niewidzialnymi strumieniami — coś takiego można zobaczyć tylko we śnie. Przeszedł mnie dreszcz. I gdybym miał akurat jakiś problem, z pewnością rozpadłby się na malutkie kawałeczki.

— Teraz dobrze jest zejść nad rzekę — Salo pociągnął mnie za rękaw. — Jej chłodna powolność przyniesie ulgę, zwiąże myśli, które nigdy nie były razem, pozwoli im płynąć, a... gdybyś mimo to miał jeszcze jakieś wątpliwości... — roześmiał się. — Ostry zarys kościelnych wież nad wyspami wykluczy każdą wątpliwość!

Innym razem Fink pokazał mi swoje młodzieńcze szaleństwo:

— Miałem tyle lat, co ty i byłem ciemny, nieostry, kompletnie niepojmowalny! Jakieś uczucia, niemożliwe do pochwycenia, przelewały się w moim ciele. Czułem, że dojdzie do katastrofy, jeśli nie znajdę czegoś poza mną, w czym mógłbym je zatrzymać, przechować, nadać im wyrazisty kształt, gęstość, ostre krawędzie, no i chłód, którego mi bardzo wtedy brakowało! Tylko tak mogłem zrozumieć samego siebie! Więc uciekałem ze szkoły, włócząc się godzinami od Paradies do Dworca Głównego, i dalej, aż do Beblo Strasse, póki nie nasyciłem sobą wszystkiego, co wpadło mi pod nogi — ogromnych płyt chodnika z żeliwnymi pokrywami, na których napisano

„gas” albo „Breslau kabel”, piwnicznych krat, od których wiało zgniłoziemniaczanym chłodem, schodów, skrzyżowań i krawężników... Kiedy już nasyciłem Miasto swoim szaleństwem, uspokojony wracałem do domu.

Zatrzymał się przed zniszczoną kamienicą.

— Samo zrozumienie... — powiedział zamyślony — to jednak było za mało! Potrzebowałem czegoś jeszcze... Olśnienia, upadku, znaku... Widzisz tę bramę numer 36? Którejś nocy wszedłem do niej... — Salo kątem oka spojrzał na mnie, taksując mój wiek i doświadczenie. — Dość że kiedy znalazłem się po drugiej stronie, na studziennym podwórku — nie byłem już taki sam.

Kiedyś trafiliśmy nad rzekę i Fink pokazał mi jej brzegi: omurowane, gładkie, jakby odwrócone do siebie plecami, „jak teorie matematyczne, w czasach, kiedy studiowałem na Uniwersytecie. Nie dawały się połączyć, choć przecież były częścią jednego umysłu. Stałem tu, a potem nagle odwróciłem głowę — to było jak senna oczywistość: Most Cesarski dokonał koniunkcji brzegów! Moją teorię nazwałem »logiką mostów«, przyniosła mi rozgłos na całym świecie, nie chcę się chwalić, ale raz czy dwa wspomniano nawet o Noblu! Wykładałem ją na Uniwersytecie, aż... do końca”.

Którejś niedzieli Salo siedział skupiony, jego myśli nie chciały ruszyć z miejsca, więc i my nie poszliśmy daleko, ledwie przed sąsiednią bramę. Dreptał w miejscu, pocierał podeszwami o bruk, próbując coś zmazać, mruczał i wzdychał.

— Chodź, Salo! — powiedziałem. — Nie ma o czym mówić! Łobuzów nigdzie nie brakuje!

I zaciągnąłem go z powrotem do domu.

Na południu Miasta i ja miałem swoje własne parę metrów kwadratowych upokorzenia i strachu.

Potem Fink umarł. Przed śmiercią podarował mi kolekcję. Sprzedałem ją Grobelskiemu za połowę ceny, ale nie wyjechałem z Miasta, sam już nie pamiętam, dlaczego.

Jeszcze przez jakiś czas, jak wskazówka kompasu, wracałem na Północ, aż w końcu mi się znudziło.

Kupiłem telewizor. Wieczność jakby trochę zelżała i w sumie dało się żyć.

Bi

Jego oczy od jakiegoś czasu otwierały się szybciej i mniej boleśnie niż pamięć: powieki unosiły się bez ostrzeżenia, jak krata oddzielająca pierwszych chrześcijan od areny, na której miotał się ryczący nubijski lew — w taki mniej więcej sposób, każdego ranka, bezbronny pan Sztupalski stawał się łupem drapieżnego dnia.

Niespodziewana jasność raniła mu oczy, więc szybko zamykał powieki i czekał na wybawienie, ale jego pamięć, gdziekolwiek teraz była, odmawiała powrotu.

Gdzie była pamięć pana Sztupalskiego — oto pytanie! Z pewnością nie było jej w środku Sztupalskiego, chociaż on sam czuł, że musi być gdzieś niedaleko, więc zrobił szparkę w powiece lewego oka i zaczął wpatrywać się w biały prostokąt nad głową, na którym migotały jeszcze pozostałości snu. Zniknęły, zanim zdążył przyjrzeć im się lepiej — tak jak każdego ranka, lecz pan Sztupalski jeszcze sobie tego nie przypomniał.

Biały prostokąt wysoko w górze bardzo go przeraził — strach nie potrzebował pamięci, żeby istnieć, po prostu sobie był, w dodatku biały i prostokątny. Całe życie Sztupalskiego — jak by nie spojrzeć na sprawę — było teraz białe i prostokątne, gdyż pamięć, opóźniając swoje przy-